„Jerzy Żuławski
Romeo i Juljetta."
1905
(autograf, str. 26)

89

Żuławski Jerzy

(…ennik wrażeń i przeżyć [illegible])

Romeo i Juljetta.

Wyszedłem z Piazza delle Erbe, niegdyś rzymskiego forum w Weronie, a dziś jednego z najbardziej malowniczych placów we Włoszech a może i na ziemi całej, z cudnym Palazzo Maffei w głębi i smukłą Torre civica patrzącą z góry, zza murów pałacu della Ragione na stare domy na podcieniach oparte, o dziwnych, fantastycznych facjatach średniowiecznych, pokrytych resztkami pobladłych fresków, – na barwną casa dei Mercanti o smukłych kolumnach, na słup granitowy z lwem św. Marka u szczytu i na wiecznie szemrzącą fontannę, uwieńczoną postacią wolnej Werony, na kamienną trybunę z czasów rzeczypospolitej i na ten cały tłum, gwarny i barwny, wijący się dookoła kramów na placu rozstawionych… Minąwszy marmurową kolumienkę, w końcu długiego a wąskiego placu stojącą z maleńką, do gotyckiej latarni podobną kapliczką

na wierzchu, zapuściłem się w ulicę św. Sebastyana, zmierzając zwolna w stronę Adygi i mostu Navi. Nie uszedłem jeszcze kilkudziesięciu kroków, gdy zatrzymało mnie wołanie: Signore! ecco casa di Giuletta! Przedemną stał mały oberwus i pokazując jedną ręką na stary, wysoki dom z czerwonej cegły, drugą wyciągał z przyjaznym uśmiechem: Un soldino, signore!...

A więc to tutaj – sześć wieków temu... kiedy to dumnym patrycjuszom Werony, właścicielom pałaców, winnic i gajów oliwnych na pobliskich wzgórzach, panował z grodu św. Piotra, co się ~~wzn~~ wzniósł na ruinach Teodorykowego ongi zamczyska, mądry i szczodry książę Bartłomiej della Scala... Sześć wieków! Dom stoi jeszcze, krzepki, wyniosły, ponury, – postarzał się tylko i wygląda teraz, jakby był rówieśnikiem tej rzymskiej Areny opodal, która przecież w gruz się już pewno i wówczas rozpadała, kiedy zakładano pierwszy jego kamień węgielny...

A kiedy szczęście przyszło do tego domu, aby w nim przez jedną, krótką letnią noc zamieszkać, kiedy tam wysoko na balkonie kamiennym otwierały się słodkie, białe ramiona Julietty i do wezbranej, od nocnego chłodu czy uczuć nieznanych drżącej piersi dziewczęcej tuliły czarną głowę Romea: wówczas, jak dzisiaj, biegały już w dnie słoneczne po rozpalonych, zielskiem obrosłych głazach opustoszałej areny drobne, zwinne jaszczurki, które są pośmiertnem życiem ruin na południu. Dni jeszcze kilka, kilka lat czy wieków, a i tutaj biegać będą tak samo — po zwaliskach domu Kapuletów...

*

Ma się już ku zachodowi. Słońce czerwone wyjrzało na chwilę z pomiędzy dachów strzelistych i krwawi cegły górnych piąter domu i błyszczy w mętnych szybach okien. Dołem mrok się już ściele wieczorny.

Przechodzę na drugą stronę ulicy, ażeby przyjrzeć się lepiej...

Wązka, wysoka, zaniedbana fasada, w długi szereg now-
-szych domów wciśnięta; okna różnej wielkości i kształ-
-tów, o okrągłych romańskich łukach; na dole, nad szeroką
bramą, wmurowana tablica: Tu mieszkała niegdyś Jul-
-jetta... obok szyld owocarza, czy też przekupnia wina
i oliwy, - a tam, u okna na trzeciem piętrze, co rozpło-
-nęło od ostatnich słonecznych promieni, uczepiony
balkon drewniany... kwiaty na nim są jakieś...

Więc to tutaj może? Nie, nie! to nie w tem oknie.
Obok jest okienko, mniejsze nieco, od narożnej izdebki,
w której zapewne dziewczęta zazwyczaj mieszkały... I tu-
-taj niegdyś był balkon: sterczą jeszcze z czerwonego mu-
-ru trzy szare wyszczerbione kamienne podpory.

Usiadłem naprzeciw wszeroko rozwartych drzwiach
winiarni i patrzę. Blady księżyc po nowiu jest na nie-
-bie i zaledwie słońce zaszło, zaczyna błyskać w szybach
okna i malować na niem dziwne, upiorne srebrno-białe
zjawiska. Szemrze fontanna na pobliskim placu delle
Erbe; zapach bzów skądś dolatuje, a czerwone, płomienne

czarodziejskie wino mam przed sobą...

„Wilt thou be gone? it is not yet near day:
it was the nightingale, and not the lark,
that pierc'd the fearful holow of thine ear;
nightly she sings on yon pomogranate-tree:
believe me, love, it was the nightingale!"...

[illegible] / [illegible]

*

Tutaj miał być ogród. Szekspir mówi, że był tutaj ogród, murem zamknięty wysokim, — ogród, w którym kwitnęły pomarańczowe drzewa, pełne śpiewających słowików. Nie wspomina o tem wprawdzie Dalla Corte, pierwszy historyk tych dziejów; nie widać też zgoła nigdzie śladów, aby dom, w wązką ulicę dziś wciśnięty, mógł być niegdyś otoczony ogrodem, ale ... cóż to szkodzi? Więcej wierzę Szekspirowi, choć nie był tu nigdy, niż wszystkim historykom świata, niżli własnym oczom nawet. A zresztą — przecież noc jest majowa i wino się pieni czerwone — więc cóż łatwiejszego, jak przenieść tu sobie kilka najpiękniejszych cyprysów z giardino Giusti, który wisi tam ~~rozśpiewany~~:

słowikami – na skalnych urwiskach po przeciwnym brze-
-gu Adygi! Są między niemi takie, co przed sześciu
wiekami, za czasów Julietty, już po sto lat miały i
śmiało mogły były ocieniać wkniężycu balkon ten u
okienka uczepiony, i drżeć, jak teraz słowiczym śpie-
-wem z nastaniem nocy majowych. A pod cyprysami
kwitnęły róże... Przemieśmy tu sobie wszystkie róże,
które rosną i pachną po ogrodach willi i winni-
-cach pobliskich pagórków, wszystkie róże wzgórz i nad-
-padańskich nizin – nie! więcej! całe morze, otchłań
całą przewonnych róż: wszystkie, jakie tylko zakwitają
i śmieją się do słońca na obu stokach Apeninu, od
Alp aż po brzeg Sycylji, – róże białe jak śnieg i
lekko spłonione dziewczęcym, wśród listków ukrytym
rumieńcem, te jak świt i młodości różowe i te pur-
-purowe jak krew, i te od zbyt rozkosznej woni własnej
mdlejące, jak miłości upojne, i polne róże gwiaździste,
i te królewskie, w przepychu barw ciężkie głowy złoci-
-płomienne ku ziemi kłoniące...

ta Juljetta, która następnie, nie walcząc już i nie opie-
-rając się przemożnej miłości, skarży się tylko w ogrodzie:

„O mój Romeo! czemuś ty Romeo?
Wyrzecz się ojca, odrzuć swoje imię,
lub - jeśli nie chcesz - kochać mnie przysięgnij,
a ja nie będę odtąd Kapuletką!"

przysięgnij

i dotrzymuje tych słów, spełnia tę ofiarę i nie waha
się ani na chwilę wyrzec nazwiska i rodziny i
oddać się duszą i ciałem ukochanemu człowiekowi i
— żywa — w grób iść nawet dla niego, poprostu dlatego
tylko że go kocha: ta Juljetta jest piękna właśnie
przez ową miłość zwycięską, nieopatrzną i ślepą na
wszystkie rzeczy świata! Ale jakże ohydna byłaby Juljet-
-ta, udająca miłość dla wroga, albo bez miłości wycho-
-dząca za niego „przez poświęcenie", aby małżeństwem
załagodzić jakieś tam spory rodzinne lub zapewnić po-
-myślność ojczystemu miastu! A przecież to łatwo by tylko
można pojmować, gdyby to wogóle pojąć można było! —
Tak, ta jasna Juljetta byłaby wówczas tem, czem są wszyst-

-nie kobiety sprzedajne, dziewki, żony czy królowe, które z rzeczy bezcennej, jaką jest miłość, robią cenę rzeczy... poży-
-tecznych i za pokalanie, za bezmiłosne oddanie swego ciała kupują chleb, spokój, czy cześć, dobre imię dla swoich dzieci czy życie dla ojców swoich i braci, władzę dla siebie, czy szczęście dla swoich narodów, — to jest: nierządnica!

Nie, mój literacie z Werony, nie kalaj mi Juljetty, która naprawdę kochała i śmiercią zapłaciła za miłość, za nie więcej ani mniej, jak za samą mi-
-łość „tylko"! Zapomnij o historykach, porzuć mądre i uczone swoje badania, a weź w rękę książkę jasno-
-widza Szekspira i pójdź wieczorem wraz ze mną, dzikim barbarzyńcą z północy, i z Jego duchem nieśmiertelnym przed ten stary dom, patrzeć, jak wyrastają, w księżycowym obrazku cyprysy, jego potężną fantazją tutaj sadzone, i słuchać słowików, zanoszą-
-cych się wciąż gdzieś w zielonych krzewach nad brze-
-giem Adygi! — Czyż dopiero ja, cudzoziemiec, mówić ci

potrzebuję, że jeśli miłość Julietty w czem jest wyższa od wszystkich, o jakich tylko słuch nas doszedł, to przez to jedynie, że to była miłość-dziecka, która się zaczęła tak, bez dnia wczorajszego, i tak skończyła, bez jutra! Rozumiesz mnie? miłość dziecka, które jeszcze nigdy, nigdy! nigdy dotąd nikogo nie kochało i potem już nigdy nikogo kochać nie miało?

Ale to nie jest scena „etyczna"; to jeno miara szczęśliwości... i piękna...

*

Jest więc ogród, róże są, słowiki i jest znów rozkoszna włoska noc majowa... Z balkonu trzeciego piętra zwiesza się drabina ze sznurów spleciona: Julietta czeka na przybycie męża. „Męża, męża" — powtarza i ciśnie rękami tak dziwnie, tak niespokojnie bijące serce pod rozsznurowaną, pachnącą piersią dziewczęcą. „To mąż!..." mówi i przesuwa dłonie drobne po czole, po licu, jakby zetrzeć z nich chciała ten palący rumieniec, co na każdy szelest w ogrodowych zaroślach krwią na twarz jej się rzu-

*

Niechaj mi kwitną tutaj, niech biją woniami nie-
-wypowiedzianemi i poją, poją, mocniej niż wino,
mocniej niżeli wspomnienie minionej młodości i
chwil szczęścia przebrzmiałych, tak mocno prawie
jak miłość, która dech w piersiach zapiera i roz-
-hukane serce wstrzymuje na chwilę, jak usta
jedne, mnie znane, stracone... Przymykam oczy...
Duszący, obłędny, czarodziejski zapach. Słowiki, pijane
tą wonią, opadają z czarnych wysmukłych cyprysów
na niskie, lśniące liściem wksięzycu drzewa poma-
-rańczowe i zanoszą się od śpiewu, tak podobnego
do łkań, wydzierających się z przepełnionej piersi
w chwilach takiego szczęścia, którego już słowa ani
śmiech nie są zdolne wyrazić... Wtóruje im namię-
-tnie perlista, wśród kwiecia ukryta fontanna...
Tak, tutaj był ogród – tutaj jest ogród...
A teraz niech wstaną dawno pomarłych nieśmiertel-
-ne cienie!... Jakiś szelest... ktoś lekko mnie przesadził,

zadrżały krzy pod ogrodzeniem, kłonią się róże i rosę
wonną strząsają na miękką, młodzieńczą dłoń,
która je zwolna rozsuwa... Księżyc wypłynął zza
najwyższego cyprysu i pada teraz na balkon...

„Lecz cicho! cóż to zabłysło mi w oknie?
To świt się budzi, – zorzą jest Julietta!
Wzejdź, jasne słońce!...” –

„Tyś jest Romeo? ty jesteś Montekki?...”

– Nie! ja jestem miłość! Nie mam imienia ani nazwiska innego. Miłość jestem i przychodzę dla-tego, że maj jest na świecie, że róże pachną w twoim ogrodzie i jęczą słowiki na cyprysowych drzewach. Przychodzę, aby ci powiedzieć, że jesteś piękna, – bo żywy jestem i młody i wiosnę mam w sobie! I jeszcze dlatego przychodzę, żeś ty mnie wołała... Dziś, wczoraj, ciągle, od chwili, kiedy po raz pierwszy serce twoje żywiej zabiło, gdy za-dumałaś się po raz pierwszy, słuchając słowików i oddychając wonią róż, i pomyślałaś, że róże są won-

=ne i że słodki śpiew słowiczy wieści jakąś rzecz — najsłodszą! I przychodzę ja, posłuszny twemu woła=-niu i przynoszę-ć tę rzecz, najsłodszą na ziemi i w niebie: miłość ci przynoszę!...

„Dobrze, iż nocny cień mi twarz osłania,
boby(ś) na licu mem dostrzegł rumieniec,
żeś ty to słyszał, com ja w noc szeptała...
Próżno udawać i próżno mi przeczyć
swym wołanym słowom; precz wszelkie wykręty!
Czy ty mnie kochasz? Wiem, że: tak - odpowiesz;
ja ci uwierzę... Lecz choć ty przysięgniesz,
możesz fałszywie przysiąc! Z klątw kochanków
sam Bóg się śmieje podobno... Romeo,
czy ty mnie kochasz? - powiedz mi to szczerze...
Lecz - gdybyś myślał, że jestem zbyt płocha,
to ja się zaprę i skłamię i powiem,
że nie chcę ciebie! - lecz ty nie wierz temu"...

Wpadła mi w rękę przypadkiem mała książeczka pew=nego literata z Werony (oby imię jego na wieki było zapomniane!), w której stara się udowodnić, że miłość Julietty dlatego jest wyższą od wszystkich tragicznych i romantycznych miłości, jakie nam przekazała historja, ponieważ była wynikiem... porzucia obowiąz=ku wobec ojczystego miasta!!... Dziwny ów mędrzec baje, że Julietta wtedy dopiero pokochała Romea, kiedy się dowiedziała, że jest to jeden z Monteckich, a pokochała go w tym jedynie "celu" i z tym zamiarem, aby doprowa=dziwszy do małżeństwa, pogodzić w ten sposób zdawna zwaśnione rody i zapewnić nareszcie spokój wewnętrzną rozterką targanej Weronie!

Bluźnierstwo zaiste jedyne w swoim rodzaju, naiwne i nieludzkie równocześnie, całą uwdzioną legiendę, a więc dzisiejszą żywą prawdę faktu, stawiające poprostu do góry nogami!

Być może zresztą, że historycy, – a wiedli przecież o dzieje Romea i Julietty zażarte spory Filip Scolari i profesor

Toderchini, Aleksander Torri i opat Ventari! – otóż być może, iż historycy doszli wreszcie do takiego poglądu, ale – to bynajmniej rzeczy nie zmienia: pogląd ten, choćby nawet poparty był dokumentami (które zresztą nie istnieją) będzie i tak zawsze fałszywy.

Jedyną nieprzemijającą prawdą w każdym wypadku, choćby rzeczywistym, który stał się już legendą, jest jego piękno, to jest to, czemu właśnie zawdzięcza swą nieśmiertelność. – Julietta, dziecię piętnastoletnie, która pokochała młodzieńca, niespodziewanie jawiącego się na wieczornicy w domu jej rodziców, a dowiedziawszy się o imieniu nieznajomego – wroga swej rodziny, czując jeszcze na ustach pierwszy, gorący jego pocałunek, przez który z dziecka stała się kobietą, woła z przerażeniem i rozpaczą:

„My only love sprung from my only hate!
Too early seen unknown, and known too late!
Prodigious birth of love it is to me,
that I must love a loathed enemy! –"

kursywa
brzegos

-ca. „Mąż"..., powtarza, ale czuje - przez ten rozkoszny dech jej zapierający dreszcz, że to nie jest „mąż", ani „ojciec", ani nikt, ktoby jakiekolwiek nosił miano, oprócz tego jednego, najsłodszego: „kochany... kochany ... mój..."

Myśli: Oto przyjdzie za chwilę... weźmie mnie... Cóż ja mu mam powiedzieć? jak go powitać? Nie chcę, aby pomyślał o mnie, żem się niestosownie zacho-wała. — Oby jeszcze nie przychodził... Nie, nie! niech przyjdzie!...

A teraz krok lekki słychać: zaskrzypiały sznury... Julietta, jak ptak spłoszony, wtył się rzuca... nie! już jest na balkonie, wychyla się przez poręcz i wyciąga ręce ku tej czarnej, ukochanej głowie, coraz bliższej, coraz bliższej jej ramion, ust, piersi zalękłej a stęsknio-nej...

Oto (już są) przy sobie. Nie mówią ani słowa, tylko patrzą sobie w oczy i śmieją się pod rzęsami cicho i długo do siebie tym błogosławionym śmiechem dzie-

-ciezym, który jest największym darem miłości i najpyszniejszem szczęściem kochanków na ziemi. Tak się śmiać ongi musiała złota Sulamith do czarnego kochanka swojego, leżąc w jego ramieniu na wonnych ziołach pod gałęziami cedrowych drzew, nim w omdleniu miłosnem szeptać poczęła:

Całuj mnie, całuj, mój ty ulubiony!
Słodsze pieszczoty twe, niż miód sycony!...

Ach! ale to są jeszcze dzieci naprawdę i nie umieją przeto ocenić szczęścia dziecięcego śmiechu! Więc żal im czasu, żal każdej straconej chwili przelotnej!...
Jeszcze na poręczy balkonu zwieszony, Romeo chwyta dłońmi tę jasną, błogosławioną głowę i mając palce pełne przenajdroższego złota jej włosów, nachyla się i szuka wargami oczu, patrzących weń z pod wpółprzymkniętych powiek i ust, co drżą, rozchylając się bezwiednie do pocałunków. I ona czuje na włosach, na oczach, na licu i na skroniach pocałunki częste, szybkie, dożywcze, płomienne; przechyla w tył głowę, chcąc niby usta od tych

strasznych, palących pocałunków uchronić i — tonąć wargami spragnionemi na jego usta gorące! Świat jej uczuty w oczach zakołował; uginają się kolana w przejmującem jakiemś omdleniu; czuje tylko ramię dookoła kibici, które ją ciśnie, mocniej i mocniej — i usta, te straszne, palące, rozkoszne usta na ustach swoich, co się oderwać nie mogą… Tchu jej brak; czy to śmierci, czy szczęście przybywa?

„Ty chcesz już odejść? dzień jeszcze daleki!
to słowik śpiewa, to nie był skowronek!…"

Nie mogę się rozstać z tą parą jasną, słodką, umiłowaną; nie mogę się rozstać z tą małą izdebką na trzeciem piętrze ceglanego pałacu, która sobie wymarzyłem — tak pełną szczęścia niewypowiedzianego…
Teraz już ogród niepotrzebny, słowiki, cyprysy ni róże, teraz już wszystko jedno, cokolwiek jest tam — za oknem, bo świat cały zamknął się w tych czterech ścianach; tutaj — na jedną krótką noc majową streścił się — cała

wiosna jego i wszystko piękno ziemi.

Lampa oliwna płonie na okapie kominka, — a może nawet nie ma lampy; księżyc się tylko wlewa szeroką falą przez okno rozwarte i srebrzy jasną postać Julietty, siedzącej na łożu, — do wczoraj jeszcze dziewiczem łożu... Nie boi się już i nie wstydzi. Koszula zsunęła (się) jej ~~się~~ z jednego ramienia i odsłoniła pierś drobną, dziecięcą, zaróżowioną jeszcze od pocałunków, po której lśni sypkie złoto jej promiennych, w rozkosznem uniesieniu rozplecionych włosów. Do szczupłych, białych kolan, odkrytych ciśnie matczynie dłońmi głowę klęczącego przed nią Romea i mówi, chyląc się zlekka piersią nad tą ukochaną głową:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Dziękuję ci za to, że dzisiaj przyszedłeś, w chwili, kiedym ja po raz pierwszy zapragnęła kochać i być kochaną i wziąłeś mnie taką, jaką jestem: jasną, nietkniętą jeszcze niczyjemi usty. Dziękuję ci za to, żeś ty pierwszy usta moje całował i że oprócz ciebie nikt ich już nigdy całować nie będzie! I za to ci dziękuję, że nie

potrzebowałam czekać na ciebie i szukać i błądzić i mylić się i ronić niepowrotnie najpiękniejszych, bezcennych kwiatów pierwszych moich tęsknót dziewiczych. Dziękuję ci, że mogłam cię uczynić dzisiaj tak bezgranicznie szczęśliwym, że mogłam oddać ci wszystko, co tylko szczęście stanowi na ziemi!...

A on ręką objął jej nogi i wznosząc twarz rozpłomienioną od kolan jej białych, mówi z cicha nawzajem:

— Dziękuję ci, że jesteś moja i że ja kocham ciebie! To ja dziękuję ci za to, że nikt jeszcze przede mną ust twoich nie całował, że krom matki, niczyje oko jeszcze twej białej piersi nie widziało, niczyja dłoń nie dotknęła złotych włosów twoich! Dziękuję ci za to, że usta twoje najczystszą jeno rozkoszą mnie poją! że mogę cię kochać miłością niewypowiedzianą, w której wszystko światłem jeno jest i radością, że myśląc o tobie, myśleć mogę tak świecie, bez bólu i goryczy i tej najstraszniejszej, złej, i głupiej a zabójczej zazdrości o dzień wczorajszy, który się już nie wróci... — Dziękuję ci za to, że jesteś tak

biała i że mu ja jest tak ~~o~~wieśliwy, ty moja, ty moja! moja!

Czy tak oni sobie dziękowali? czy tak mówili do siebie, w swojej – w małej, szczęścia pełnej izdebce na trzecim piętrze ceglanego domu? Nie, z pewnością nie mówili tak: zbyt młodzi jeszcze byli i zbyt niewinni, aby módz odczuć i zrozumieć to bezgraniczne, jedyne szczęście niezrównane młodości i niewinności. I nigdy tego nie mieli zrozumieć. Los litościwy ~~ust~~ ustrzegł ich od świadomości tej, która wówczas dopiero przychodzi, gdy się człowiek z tęsknoty za tem szczęściem, co nigdy nie było jemu przypadzone, w bólu krwawi niewypowiedzianym...

Błogosławione są dzieci...

*

Za kilka soldów pokazują w Weronie grób Julietty. A nawet nie grób; sarkofag jeno, w którym, według podania, miano złożyć ciała obojga kochanków, prosty, wyżłobiony ~~p~~ głaz czerwonego marmuru, obtłupany i

pokaleczony zewsząd czasem czasem i bezbożnemi rękami „forestjerów”, co „na pamiątkę” — zabierają po okruszynie kamienia, rzucając nawzajem do środka... swoje cenne bilety wizytowe z imiona-mi współczesnych europejskich filistrów, senty-mentalnych barbarzyńców, z których żaden jednak nie miałby ochoty umrzeć dla rzeczy tak drobnej, jak miłość!

Sarkofag ten stał dawniej pod murem starego cmentarza Kapucynów, otoczony szczątkami ko-lumienek, które niegdyś podtrzymywały snadź zwalone sklepienie grobowca. Ale to widzi się tylko na fotografjach. Cmentarz zniknął już obecnie; zamieniono go na podwórze koszarowe, przez które trzeba przejść, aby się dostać do miejsca, gdzie się teraz sarkofag znajduje. Wystawiono nad nim nową, ka-mienną altanę, rodzaj kapliczki, wśród której dziwnie odbija stary, poszczerbiony głaz...

I to to sprzeczają się historycy, czy to jest naprawdę ten

sam sarkofag, w którym złożono ciało Juljetty.
A przecież to jest rzecz tak obojętna! Legenda ten
właśnie kamień uświęciła, a zresztą dość, że na
tem miejscu rozegrał się ostatni akt tragiedji...
nie! dośpiewał się ostatni akord cudownego poe-
-matu miłości Romea i Juljetty! Tak, bo to był
poemat i piękniej nie mógł się zakończyć. Senty-
-mentalne Niemki i Angielki ocierają łzy i
przeczuwają oszyma, stojąc nad grobowcem i ża-
-łują „nieszczęśliwej" pary kochanków! Mój Boże! ża-
-łują, zamiast zazdrościć im: tej złotej, co tak była
kochana i czarnemu jej kochankowi, który po nocy
szczęścia niewysłowionego i po nocy bólu i rozpaczy,
miał śmierć tak cudowną i błogą!

A jak to było?

Ów pan z Werony, o którym już wspominałem, pisze:
„Disgraziato, tre volte disgraziato Romeo! Fossi tu
almeno morto di spada, che chiusi piu presto gli
occhi per sempre, non avresti assistito, nell' im-

=potenza dell'agonia, alla orribile scena che si stà preparando..." I w dalszym ciągu opowiada barwnie, jak Romeo w ostatniej chwili, walcząc już z ogarniają=cą go śmiercią, po zażyciu trucizny, widzi budzącą się z letargu Juljettę, widzi szczęście swoje przedwczes=nym czynem zniweczone i kona w rozpaczy, której uśmierzyć nie zdołał nawet ostatni, pożegnalny pocałunek umierającej dobrowolnie z nim razem ko=chanki.

Tak napisał ów pan z Werony, a przecież należałoby raczej zawołać: „Szczęśliwy, po trzykroć szczęśliwy Ro=meo! Gdybyś był umarł od miecza, który zbyt szybko oczy na wieki przymyka, nie byłbyś dożył w ostatniej chwili agonji, rozkosznej sceny, która się właśnie zaczyna..." Bo oto Juljetta, skrzepiona powiewem świeżego powietrza, wznosi powieki... Przed oczyma walczącego ze śmiercią Romea staje się cud: ta, za umarłą już miana, podnosi się zwolna z kamiennej pościeli i idzie ku niemu jasna, nowem życiem

zamroczona, w złotym płaszczu swych włosów, które zda się, drżą jeszcze od jego przedwczorajszych namiętnych pocałunków, - idzie jak sen, jak zjawienie, jak szczęście ostatnie, najsłodsze, wieczne...
Romeo ostatnim wysiłkiem dłonie ku niej wyciąga, ale ręce opadają mu bezwładnie, więc tylko zamierającemi oczyma śmieje się do tej ukochanej i błogosławi ją, że przyszła, że zmartwychwstała, aby mu pokazać drogę do raju, gdzie będzie już miłość niezamącona i szczęście wielkie, nieskończone...
Teraz i ona zrozumiała, co się stało: oto ten ukochany, nie chciał żyć bez niej i zabił się, sądząc, że naprawdę umarła - i teraz śmierć, śmierć przychodzi, aby ich rozdzielić! Ale nie! ona i śmierć przemoże! ich nie rozłączy już nic, nic! Oto leży porzucony sztylet Romea, którym podważał wieko sarkofagu, aby na nią spojrzeć raz ostatni, - ostry, błyszczący w księżycu sztylet stalowy! - „Krwią teraz moją piję do ciebie, kochanku mój słodki, najmilszy,

jedyny!..."

A teraz ta mówiła ostatnia... Pada na niego, tuli się doń miłośnie, obejmuje rękami jego głowę, usta do ust stygnących mu ciśnie, — a z pod jej białej, od wspomnienia pocałunków wzdętej jeszcze piersi, płynie z rany otwartej gorąca, czerwona krew... Romeo czuje tę żywą, ciepłą falę, co zda się, żyły jego przenika, czuje na wargach jej usta najdroższe... Czy to zorza już wstaje? — nie to błyszczą złote jej włosy... Jak róże najsłodsze, tak pachną usta jej młode... Śpiew ptaszząt się odzywa, ale to nie skowronek, — to słowik śpiewa, bo jest noc... i będzie już zawsze... noc — nieprzespana... błogosławiona... szczęśliwa... noc...

*

Czyż ten poemat miłości mógł się inaczej zakończyć? pomyślniej? Czyż nie największe szczęście spotkało tych dwoje, którzy przemogły nienawiść rodową, przemogły życie szare i codzienne i śmierć sa-

-mą wreszcie przemogli, wzywając tę niszczycielkę na obronę swemu kochaniu, - i odeszli razem, w najrozkoszniejszym, ostatnim uścisku złączeni, zanim życie zdążyło ich pokalać i miłość ich młodą pierwszych, tęczowych barw pozbawić? - Wszak szczęście nie długością trwania się mierzy, lecz natężeniem, a największe i najświętsze to jest pono, które jak pożar pochłania i nie gaśnie, nie rozprasza się w odbiciach bladych i wracających, bolesnych wspomnieniach słońca wśród szarych dni jesiennych...

Ale człowiek jest niepoprawny i nie umie nigdy na czas umrzeć, spodziewając się jeszcze i od jutra tego, co mu tylko dzień dzisiejszy dać był zdolny.

I cierpi też za to.

~~Werona w maju 1905~~

Jerzy Żuławski.

89